

TERRACINA.

Droga wiodąca z Rzymu do Neapolu idzie w początku przez rzymską *Campagna*, rozległą i dziką okolicę pełną zwalisk i miejsc opuszczonych; potem podróżny zostawiwszy za sobą nagie i rudawe niwy, na pontyńskich bagnach staje. Samo to nazwanie obudza już w myśli obraz okropnej pustyni; lecz jakież zdziwienie ogarnie wędrowca, gdy zamiast z obawą oczekiwaną okolicy, ujrzy ją daleko powabniejszą od téj, którą przed chwilą opuścił. Albowiem gdy w ostatniej całej roślinnej żywej upadło pod wpływem nieznośnego skwaru, tutaj znajdzie się wśród nieobjętej płaszczyny, świeżą zielonością okrytej. Głowę jego osłoni sklepienie gęstych liści, któremi odziane są wierzchołki drzew przez całą dolinę około drogi zasadzonych. Od czasu do czasu pokazują się kanały przy bokach drogi, lub w poprzek niej idące; na których piękne mosty są rzucone. Niezliczone mnóstwo zwierząt ożywia tę nizinę; na miejscach wyniosłych pasą się liczne stada bawołów, jeleni i trzody chlewnéj; niskie zaś i wodne okolice, pełne są różnorodnego ptactwa wodnego. Nawet i na rozmaitości niezbywa téj okolicy; po lewej stronie ciągną się w malowniczych kształtach góry sabińskie; w oddaleniu sterczą urwiste opoki, na których szczycie leżąca Terracina uprzejmie przychodnia do siebie wzywa. Nic tu nie przypomina strasznych powieści o bagnach pontyńskich, jedno tylko ludzkie. Podróżny zatrzymawszy się przed domem rzadkich stacyj pocztowych lub mieszkaniem wieśniaka, przerażony zostanie widokiem schorzałej postawy mieszkańca, który naksztalt ruchomego trupa przeci-

wko niemu wychodzi. Jadący jeśli chce uniknąć febry, powinien się wystrzegać snu w powozie, podczas drogi przez pontyńskie bagna odbywanéj.

Po pięcio-milowej podróży wśród bagien pontyńskich wjeżdża się w końcu do Terraciny, ostatniego miasta w państwie Kościelném; albowiem sąsiednie mu Fondi leży już w królestwie neapolitańskim. Powabne jest położenie Terraciny: częścią na potoczności góry, a częścią na jej wierzchołku rozłożona, z każdej strony najpiękniejszy przedstawia widok; lecz wewnątrz jej mniej korzystnie wygląda; ciasno zabudowane, jak wszystkie włoskie miasta, niezaleca się czystością. To nieochędstwo tém mocniej jeszcze uderza, iż okolica, w której stoi Terracina, nadzwyczajnie jest rozkoszna. W wielkiej obfitości dojrzewają tu pomarańcze i inne południowe owoce, pomiędzy któremi podróżny po raz pierwszy ujrzy figę indyjską (*cactus opuntia*), oraz przynoszącą owoce palmę daktylową, która rosnąc pod otwartym niebem, zdaje się zapowiadać sąsiedztwo między-zwrotnikowej strefy. Lecz o ile ten klimat bogaty jest w bujną roślinność, o tyle też i nieprzyjazny dla zdrowia. Wszyscy krajowcy mają bladą - żółtawą chorowitą cerę, wyłącznie mieszkańcom błot pontyńskich właściwą. Miasto o którym mówimy, za najniezdrowsze w całych Włoszech jest uważane. Przez miasto idzie długa ulica główna, wielokroć w przestronne rynki rozszerzona, które stanowią miejsca do pobytu znośniejsze. Terracina liczy wiele klasztorów i świątyń, między temi ostatniemi szczególnież uwagi godna

katedra; jest to wspaniały kościół w dawnym gotyckim smaku, wzniesiony na zwaliskach starożytniej Rzymu świątyni. Rzeczony kościół i pałac zbudowany przez Piusa VI, który szczególnie lubił tę okolicę, najznakomitszymi są w tém mieście gmachami. Oprócz nich wspomnieć należy jeszcze o trzecim, którego bezwątpienia żaden podróżny odwiedzić niezaniechaj; jest to dom zajezdny przy ulicy do Neapolu wiodącej położony, strojny pięknymi kolumnami z powierzchni nakszałt pałacu wygląda.

Terracina w zabytkach swoich jest symbolicznym godłem upłynionych dziejów Włoch całych. Z czasu Autochtonów (pierwotnych mieszkańców), pozostały cyklopowe mury, dawny gród otaczające; z nich, jako na wierzchołku skały położonych, najpoważniejszy odkrywa się widok. U dołu rozszerza się tyrrzeńskie morze ze swojemi malowniczymi pobrażami, dalej wzrok sięga do powabnej Gaëty, a na granicy widnokregu z zatoki neapolitańskiej wynurzają się rozkoszne wyspy Ischia i Procyda; w końcu wznoszący się w dali urwisty przylądek Circello dopełnia zachwycającego obrazu. Czasy rzymskie przypominają zwaliska świątyni Jowisza na szczycie skały sterczące, jeżelibyśmy nawet zwrócić niechcieli uwagi na mnogie wille w ruinach leżące na około. O najściu północnych ludów i panowaniu ich nad Włochami, świadczą szczątki zamku Teodoryka, które cały płaski szczyt skały zajmują. Wspomnienia wielkiego króla Gotów obudzić jeszcze mogą ślady murów miejskich przez niego wzniesionych, i tablica marmurowa znajdująca się przy źródłach rynku, na której wyryty napis, głosi zasługi, jakie Teodoryk położył w osuszeniu pontyńskich bagien i odnowieniu starożytniej rzymskiej drogi *Via appia* zwaną. Niepokoje wieków średnich, które się za epokę przechodową uważają, oprócz niektórych podań pomiędzy ludem, żadnych po sobie śladów tu niezosta-

wiły. Pałac Piusa VI naocznym jest dowodem błęgiego rządu papieżów, miłujących pokój i wspierających nauki.

Terracina jest bardzo starożytnym miastem przez Wolsków założonym, Anxur było dawne jego nazwanie. Grecy, którzy licznymi osadami kraj ten zajęli, nadali jemu imię Trachyna, z przyczyny skalistego położenia. Z czasem gdy się miasto Rzymianom dostało, przemieniło swe nazwanie na Terracina, a zaborecy jako swą osadę wcielili je do *Latium novum* albo *adjectum*, i w bliskości jego wiele pięknych willi wybudowali. Cesarz Antoninus Pius, urządził przy niem przystań, która teraz piaskiem zasypana, zgoła nie jest przydatna. Z tychże samych czasów pozostały szczątki starożytnego obrzymskiego budownictwa, *Via appia* nazwane, które się niedaleko miasta znajdują i przez opoki przechodzą; terażniejsza rzymska droga w części na nich jest założona. Później Terracina znaczenie swe utraciła i dzisiaj do pomniejszych miast należy.

Przy tej zręczności nadmienimy cokolwiek o bagnach pontyńskich. Błota te powstają ze zbiegu licznych źródeł w sabińskich górach początek swój biorących, które rozlawszy się po płaszczyźnie żadnego ścieku nie mającej, na niej się zatrzymują i trzęsawice tworzą. Zdaje się, iż początkowo cała ta okolica musiała stanowić dno morskie, albowiem Homer opisując miejsce gdzie Cyrce mieszkała (przylądek Monte Circello) wyspą je nazywa. Później na tym świeżo powstałym lądzie Lacedemonowie 33 miast osadniczych założyli, które częścią okolicę górzystą, częścią niskie nadbrzeża zajmowały. Po pierwszych pozostały dotąd istniejące zwaliska, drugich ślad nawet zaginął z przyczyny niewiadomych ziemi zaburzeń, które się przytrafiły w początkach rzeczywistej rzymskiej. Pod Rzymianami przedsiębrane były w różnych czasach środki osuszenia tych bagien, które nieustannie się

rozszerzały. Teodoryk król Gotów prawie całkowicie zamiaru tego dokonał; jednakże podczas zawichrzeń wojennych do dawniejszego smutnego stanu znowu okolica ta powróciła. Z większym lub mniejszym skutkiem, przedsiębiorali papieże rozmaite roboty w celu przywieżenia ich do lepszego stanu; szczególnież zajmował się niemi Pius VI, który, od jego imienia teraz nazwaną, przeprowadził drogę (Linea Pia); pomimo to jednak, zdaje się, iż zadawniałe bagna na urodzajności nie wiele jeszcze zyskały.

Mieszkańcy Terraciny w liczbie 7000 dochodzącej, a szczególnież niewiasty, odznaczają się swoim ubiorem; utrzymują się z rolnictwa, drobiazgowego handlu, przeprowadzania podróżnych, i w ogólności, jak wszystkie inne miasta włoskie, z rozmaitych zysków, jakie z wędrowców licznie ten kraj zwiedzających, ciągnąć umieją. Jako pograniczne, ma to miasto niewielką załogę i jest stolicą biskupa, który jednak dla niezdrowego w niem powietrza, ciągle w Sezzi przebywa.

Piękna rycina, którą mamy przed sobą, niepotrzebuje żadnych objaśnień; powiemy jednak słówko o przydanej do tego widoku scenie. Widzimy tu dwóch żandarmów prowadzących jednego z owych bohaterów na drogach żyjących, jakimi całe słyną Włochy, a których nigdzie tyle niema ile w tym węgle pogranicznym, z którego będąc ścigani, łatwo do jednego lub drugiego państwa uciekać mogą. Silne tylko oddziały zbrojnego żołnierza, jakie na ich zniszczenie dawniej Francuzi a później Austriacy wysyłałi, mogą napadom ich tamę położyć. Na wszelki niepomyślny wypadek dostania się w ręce złoczyńców, najlepiej jest mieć już przygotowany osobny woreczek z ośmiu lub dwónastą sztukami złotej monety. Więcej zajmujących w tym względzie szczegółów z nienaśladowanym talentem opisanych, znajdzie czytelnik w powieściach

podróżnika przez Washingtona Irvinga wydanych, a tłumaczonych na polski język pod tytułem: *Rozbójnicy we Włoszech* (Warszawa 1826).

WINCENTY Z PAULI.

(*Dalszy ciąg*).

Wincenty za powrotem do Paryża, obrał mieszkanie na przedmieściu świętego Germana, w pobliżu szpitala miłosierdzia. Często go odwiedzał ażeby cieszyć i usługiwać ubogim chorym. Mianowany proboszczem w Clichy pod Paryżem, ile mu tylko sił starczyło cały się oddał obowiązkowi swego powołania. Wypadło mu teraz ubogich kmiotków wieść drogą zbawienia. Kawał gruntu, skromna plebanija, szczupłe dziesięciny składały wszystkie mienie ewangelicznego pracownika; a jednak Wincenty przeniósł je nad bogate dochody opactwa, podobnie jak dał pierwszeństwo prostemu tytułowi plebana wiejskiego przed ofiarowaną mu zaszczytną godnością jałmużnika królowej. Ale pokorne te prace, ten żywot ukryty, przypadają do gorącej i szlachetnej duszy Wincentego. Widziano jak bez ustanku był na usługach swęj trzody, jak odwiedzał chorych, pocieszał utrapionych, powasniionych jednał, utrzymywał pokój i zgodę śród rodzin, a serca wszystkich usiłował pozyskać Chrystusowi. Chętnieby przepędził całe życie w tém ustroju, w pośród poczciwych wieśniaków, których tak lubił nauczać i cieszyć. Ale opatrność rozrzadziła inaczej. Zaledwie lat kilka upłynęło Wincentemu na sprawowaniu skromnych obowiązków plebana w Clichy, gdy go z ulubionego zacisza wywołały nalegania kardynała Piotra z Berullu, założyciela zgromadzenia Oratoryanów. Hrabia Emmanuel de Gondi, pan znakomity rodu starodawnego, prosił kardynała o następcę osoby, którejby mógł powierzyć wychowanie swoich synów. Ten mu wskazał Wincentem.

tego, którego cnoty lubo na pozór ukryte, żywym jaśniały blaskiem po całej okolicy. Zalał się łzami Wincenty opuszczając ubogą plebanią, gdzie tyle dni szczęśliwych przepędził. „Odchodziłem smutny od mego kościołka w Clichy, — pisze sam w jednym liście; — oczy moje łzami były zroszone, z płaczem błogostawilem mężczyzn i niewiasty przychodzące do mnie, których tyle kochałem; ubodzy moi znajdowali się w tej liczbie, a ich widok serce mi rozdzierał. Udałem się w drogę ze szczupłą moją ruchomością, i stanąłem w Paryżu dnia 25 stycznia wieczorem; a zasiągnąwszy rad Piotra z Berullu, poszedłem do hrabiego de Gondi. Dom ten nowym dla mnie miał być światem; równał się dworowi świetnością, ja zaś przychodziłem z ustronia: ale człowiek mocen jest uczynić sobie pustynię pośród grodów, i samotność pośród roztargnień. Dano mi piękny pokój, a mieszkałem w nim jako w celi, oddany mym obowiązkom i wychowaniu synów hrabiego de Gondi.”

Postępowanie Wincentego w tym znakomitym domu nowego blasku jego cnotom przysporzyło. Poświęciwszy się gorliwemu wykonywaniu przyjętych na się obowiązków, potrafił roztropnością i dobrocią pozyskać tak wielki wpływ na osoby, z którymi w ciągłych zostawał stosunkach, iż wkrótce dom hrabiego inną przybrał postać. Codziennie, zrana i wieczór wszyscy odprawowali wspólne modlitwy; często przystępowano do stołu Pańskiego, pobożność i porządek ugruntowały się między domownikami. Hrabini ujęta cnotami Wincentego, powzięła ku niemu wielką ufność, i w dobrych uczynkach kierowała się jego radami.

Okolo tego to właśnie czasu przyszła Wincentemu pierwsza myśl zaprowadzenia po wsiach missyj duchownych. W roku 1616 towarzyszył hrabinie do jej dóbr w Normandyi leżących. Jeden z dzierżawców w ciężką zapadł chorobę; nawiedził go Win-

centy i zachęcał do pojednania się z Bogiem, lecz dostrzegł przytém iż ów ziemianin, pomimo dobrego imienia jakie miał u sąsiadów, dopuścił się niejakich zdrożności, których wyznać przeszkadzał mu wstyd fałszywy. Ale rozmowy z Wincentym napelniły go pociechą, tak iż wylewał łzy radości. Cnotliwy kapłan zrozumiał, iż podobny stan duszy, krepowanej wstydem wyznania, często zwykł się napotykać między wieśniakami, którzy nie dość posiadali światła, ażeby pojąć niebezpieczeństwo, na jakie się przez to narażali. Wtenczas powziął zamiar wyprawiania missyj po wsiach, które zaniosły tam wraz z jałmużną wiernych, naukę gruntowną i wszelką duchowną pomoc, jakiej one zwykle bywają pozbawionemi. Tak skromny był początek jednej z najpiękniejszych instytucyj w chrześcijaństwie.

Miłość bliźniego nigdy nie jest nieczynną, a dla serca miłującego dobro, przygody życia nastęrczają coraz nową sposobność do ocierania łez bliźnim. Hrabia de Gondi mianowany został rządcą generalnym galer. Wincenty towarzysząc mu po wielokroć do Marsylii, mocno był tknięty nędzą, w jakiej się znajdowali podówczas więźniowie skazani na galery. Dusza jego wzruszyła się wielkiem ku nim politowaniem, i postanowił wszystkich użyć środków na poprawę materyalnego i moralnego stanu tych nieszczęśliwych. Posłuchajmy jak sam mówi o swych pracach ewangelicznych na galerach. „Skorom tu przybył, najsmutniejsze jakie tylko wyobrazić sobie podobna widowisko stawiło się przed memi oczyma; zbrodniarze podwójnie nieszczęśliwi, boleśniej jeszcze brzemieniem strasznych występków swych aniżeli ciężarem kajdan przygniecieni, pod ogromem takiej niedoli odejmującej im chęć i myśl o zbawieniu, ustawicznym oddawali się bluźnierstwom i rozpaczy: był to prawdziwy obraz piekła, gdzie imię Boga wspomniano tylko się go wyrzekając, a imieniowi Opatrzności okro-

pne towarzyszyły przekleństwa. Zdjęty uczuciem politowania ku biednym więźniom, wziąłem sobie za powinność cieszyć ich i starać się o ich zaufanie, a nadewszystko używałem wszelkich środków jakie mi tylko miłość bliźniego nastęrczała do ukotysania i złagodzenia ich umysłów, do uczynienia ich tym sposobem przystępnymi dobru, jakie przynieść ich duszom pragnąłem; słuchałem cierpliwie ich żalów, ubolewałem nad ich cierpieniami; całowałem ich kajdany ażeby je uczynić lżejszemi; nieszczędziłem prośb i modłów ażeby dozorczy więźniów z większą obchodzili się z nimi ludzkością.“

Wincenty ukazał się przeto na galerach jako anioł pocieszyciel. Skutkiem uprzejmości, zabiegów i słodyczy, potrafił zjednać powoli ich ufnosć ku sobie, spuścić na ich serca zranione promień nadziei i przynieść wszelką pociechę, jakiej wiara dzieciom swym udziela. Marsylia, Bordeaux i inne miasta, w których znajdowali się winowajcy skazani na galery, były kolejno świadkami czynów miłosierdzia Wincentego. Jednocześnie pracował on, wspierany przez osoby możne, nad ulżeniem cielesnych cierpień tym nieszczęśliwym. Żarliwość jego i wytrwałość uwieńczył skutek najpożądańszy. Wkrótce w tych legowiskach zbrodni i zepsucia, grzeszność, uległość, zdanie się na wolę Opatrzności zastąpiły miejsce grubijaństwa, bluźnierstw i bezbożnych szaleństw rozpaczy. Kardynał Richelieu uderzony dobrem, jakie Wincenty przyczynił, wyjednał mu u króla Ludwika XIII urząd naczelnego kapelana galer. Ale kapłan pokorny cenił więcej tytuł ojca i przyjaciela wszystkich więźniów. Niektórzy pisarze świadczą, iż niesłychanym heroizmem miłości bliźniego uniesiony, zajął był miejsce jednego z tych nieszczęśliwych, którego łzy wzruszyły potężnie jego serce, i że przez lat wiele nosił na nogach chwalebne kajdan ślady.

(Dokończenie nastąpi).

VAN AMBURGH.

Czasowe pisma zagraniczne pełne są dziwnych powieści o nadzwyczajnym zjawisku psychologiczném, którego przedmiotem jest niepospolity charakter Van Amburgh'a; mnóstwo biografij tego niepospolitego człowieka; z których jedna od drugiej dziwniejsza, współcześnie prawie wszędzie się ukazało. Przywiedziemy tu z nich jedną z *Revue britannique* wyjętą, która za najwiarogodniejszą uchodzi; skreślił ją Efraim Watts kupiec z New-Yorku, który szczegóły w niej zawarte, częścią z ust samego Van Amburgh'a, a częścią od jego powziął rodziny.

Izaak Van Amburgh urodził się w miesiącu Lipcu 1811 roku, w małym miasteczku hrabstwa Duchess, jednego z 54, na jakie się dzieli cała prowincya Kentucky; która dawniej tworzyła powiat należący do Wirginii, a dopiero w roku 1791 Lutego 4 aktem kongressu za oddzielną uznana została. Prowincya ta leży pomiędzy 36° 30' a 39° 10' szerokości północnej. Wielką jej część pokrywają nieprzebyte lasy i rozległe łąki, które w rozmaitych kierunkach ogromne przerzynają rzeki, jako to: Ohio, Missisipi, Kentucky, Big-Sandy i inne. W tej to właśnie okolicy, niedaleko miasta Lewistonu, opuściwszy Karolinę północną, osiadło pokolenie Indyan Tuscaroras zwane. Przychodnie ci ze szczątkami innych ludów miejscowych utworzyli pewien rodzaj rzeczypospolitej zwanój konfederacją sześciu narodów; a podróżny udający się z Buffalo do Lewistonu na obu brzegach Kentucky może się przypatrzeć chatom Tuskarorasów w pośród zarosli rozrzuconym.

Vorboys Van Amburgh dziad naszego bohaterera, należał do pokolenia indyjskiego Tuscarora; u którego znany był pod imieniem Tangborgon d'Oom, co w tym języku ma znaczyć: „wielki król lasów.“ Nazwanie swe Vorboys Van Amburgh wziął od pewnego

osadnika w Kentucky, którego obronił w lesie od napaści dwóch jaguarów. Zmuszony przez tegoż osadnika do odwiedzenia Kentucky dla sprzedaży dwóch skór jaguarowych, były wielki król lasów, tamże osiadł i ożenił się przyjąwszy chrzest święty. Rzecz dziwna! jego syn jedyny, ojciec pogromcy drapieżnych zwierząt, nadzwyczajnie się ich obawiał; a ta zbytnia lękliwość dni jego życia skróciła: powiadają, iż na zakręcie ulicy postrzegłszy niespodzianie odmałowanego dzika, na nowo wywieszonym szyldzie, tak mocno się przelękł, że zachorował i wkrótce z téj choroby umarł.

Jeżeli można dać wiarę powieściom matki Van Amburgh'a, w czwartym miesiącu swéj brzemienności miała ona sen nadzwyczajny, który uważała za przepowiednię przyszłego losu jéj dziecięcia. Oto są własne jéj słowa w których go Efraimowi Watts opowiadała.

„Siedziałam w cieniu ogromnego drzewa niedaleko zatoki Oneida (*); zagnała zdało mi się że ziemia podemną opada, pomimo to zostałam spokojna i nieruchoma. Drzewo mię otłaniające z wolna pogrążyć się zaczęło; czułam jak jego gałęzie z szelestem przesunęły się wzdłuż mojego ciała, i zupełnie znikły. Potém spostrzegłam, że nogi moje opierały się na jakimś białawym piasku, okolica mię otaczająca znikła powolnie przy odgłosie harmonijnych dźwięków; i samotna zostałam na mojem kamienném siedzeniu, z którego wysokości; przejęta pewném dumy uczuciem na nieograniczony spoglądałam widnokrąg.“

„Zagnała odmienia się widzenie; jak piórko porwana zostałam w powietrze i niewidzialne ręce złożyły mię na piaszczystym brzegu Onondagi; podniosłam się, a chodząc po niém słyszałam syczenie węzów i ryk zwierząt drapieżnych. W pośród téj okropnej muzyki, przyspieszam kroku i przybywam do

zwalisk obalonych stodół i opuszczonych stajni, stojących nad słonemi źródłami Syra-kuzy i Saliny.“

„Wehodge do staréj stodóły i znajduję szesnaście kotłów żelaznych, we dwa rzędy ustawionych. Odkrywam pierwszy kociel ze wszystkich największy, i znajduję w nim nasoloną lwią głowę; otwieram drugi i postrzegam takóž nasolone łapy tego zwierza. Jedném słowem we wszystkich szesnastu odkrywam rozmaite części lwa pociętego na sztuki, które stoniały jakby do użytku domowego.“

„Tymczasem ogarnęła mię jedna z tych żądź niepojętych, jakim niekiedy podlegożą ciężarne niewiasty: wyjmuję z solonego rosółu pływającą w nim głowę i do ust ją przybliżam, które tak szeroko się roztworzyły, iż przez nie, cała ogromna przeszła głowa, i jakby jeszcze żyjąca we wnętrzościach moich straszliwy ryk wydała. Tymże samym sposobem zjadłam albo raczej połknęłam to wszystko, co się w pozostałych kotłach zawierało.“

W ten sposób opowiadała sen swój Pani Van Amburgh, a tłómaczenie jakie jemu dawała, usprawiedliwiła młodość Izaaka. Nielubił on zabaw wiekowi swojemu właściwych, jedynym przedmiotem jego rozrywki i nauki były owady, jakoto: ossy, chrząszcze, moskity i inne. Wzrastając zajmował się zwierzętami mniejszemi; pod jego rozkazami zostawały myszy i szczury sąsiedzkich szpichlerzów, i często go widywano siedzącego w stodołe pośród szczurów, myszy i jaszczurek, z którymi skromny swój posiłek rozdzielał, jakby władca śród poddanych. Matka niewiedziała co sądzić o téj jego skłonności, i napróžno usiłowała go odciągnąć od towarzystwa ze zwierzętami, w którym on znajdował rozkosz dla innych nieznaną.

W siódmym roku życia swojego dosiadywał wszystkich koni które tylko krótkość nóg jego objąć mu pozwalała, i ani wspinania

(*) Oneida w języku tuskaroskim ma oznaczać „kamień na wysokim wzgórzu.“

się, ani swawolne ich skoki zrzucić go niezdobyły. Z czasem na bardzo zręcznego wyszedł jeźdźca, a dwunastoletni chłopak często używany do ujeżdżania znarowionych koni, we wszystkich okolicach Kentucky, zręczność swoją obrał za rzemiosło, które mu był niezależny zapewniało.

W Ameryce południowej dzikie konie nadzwyczaj do ugłaskania są trudne, kásają okropnie i potężnie biją nogami. Łowią je sposobem następnym: Zręczny i śmiały jeździec, cwałując w pośród dzikiego stada, zarzuca jednemu koniowi pętlę na szyję, około nogi zakręca mu powróż obciążony kulami ołowianemi, i skrępowanego konia na piasek obala; poczem skoczywszy ze swojego, wsiada na dzikiego konia, i na step z nim się wypuszcza. Nic niemoże się przyczynić do upadku zuchwałego jeźdźca, i koń rozogniony, zagrzewany głosem, razami i ostrogą, goni co mu siły starczą; w końcu zatrzymuje się i wycieńczony upada na ziemię. Odtąd już nadal posłuszny, spokojnie do stajni zaprowadzić się pozwala. Płodny w pomysły dowcip Van Amburgh'a wynalazł od razu ten sposób, który w Ameryce południowej był długiego doświadczenia owocem.

Lecz pomimo rozkoszy jakiej doznawał heroiczny Izaak pokonawszy najdzikszego konia, w czynnej swój wyobraźni, powziął myśl szukania rozleglejszego zawodu. Wychowany bogobojańczo przez matkę, pewnego dnia czytając pierwszy rozdział ksiąg Mojżeszowych, następnymi słowami został mocno uderzony.

„Bóg pobłogosławił męża i niewiastę, i rzekł im: „Roście i mnożcie się, napełnijcie ziemię którą zawładniecie, i panujcie rybom morskim, ptakom napowietrznym, i wszelkiemu rodzajowi zwierza, który żyje na ziemi.“ Van Amburgh rozmyślał nad tym wstępem. Jeżeli człowiek, rzekł do siebie, powinien panować nad zwierzętami, zkądże

więc pochodzi, iż drży na widok tygrysa? dla czegoż pozwala się poźrzeć lwowi? Drapieżne zwierzęta dla tego tylko są straszne, że my jesteśmy bojaźliwi. Nie my to obawiać się ich mamy, one przed nami drzeć powinny. Pomimo swój siły i dzikości one są liche i słabe, i dosyć abyśmy śmiało w oczy im spojrzeli, a pewno uczują wyższość rozumu i woli ludzkiej i posłuszne ulegną przyrodzonemu władcy swojemu.“

Od teoryi Van Amburgh przeszedł do praktyki. W wolnych od zatrudnień godzinach, błądząc po lasach Kentuckich, wprawiał się do poskramiania dzikich wołów, wilków, lisów, hyen, dzików i bawołów. Nietylko, iż znaczną liczbę ich ugłaskał, lecz niepojętą nad nimi nabył władzę i swą policyę leśną pomiędzy nimi rozciągnął. Jeśli zwierza dziki z przyległego lasu dusił króliki, lub porywał barany i ptastwo unosił, wówczas skrzywdzeni dzierżawcy udawali się ze skargą do Van Amburgh'a, ażeby winowajcę ukarał lub oddał im w ręce. Jednogłośnie świadectwo wszystkich mieszkańców tego kraju potwierdza rzetelność podobnych wydarzeń. Upewniają oni, iż Van Amburgh niejednokrotnie odkrywszy przestępnego zwierza, porwane barany i gęsi nienaruszone jeszcze właścicielom powracał; słowem ogłoszony został dozorcą czworonożnych złodzieiów.

Dzik ogromny plądrował pewnego razu lasy położone o mil dziesięć od mieszkania Van Amburgh'a. Zwierz ten robił częste wycieczki do sąsiednich folwarków, psuł zagony w ogrodach warzywnych, ogryzał korę kasztanów, i niejednokrotnie dostawszy się do chlewów, największe zamieszania w nich sprawiał. Osadnicy przyprowadzeni do rozpaczy, poczęli wierzyć, iż to był szatan w przybranój dzika postaci. Wezwano pomocy Van Amburgh'a i w przeciągu sześciu tygodni napady tego zwierza ustały, i do okolicy znówu spokojność wróciła.

Van Amburgh hamował zwierzęta, lecz bynajmniej krwi ich nieprzelewał. Za całą broń używał kija żelaznego, którym uderzał w pewne miejsca kości pacierzowej zgola nieraniąc zwierza. Nawet dla osiągnięcia panowania obiecanego w piśmie świętym, nie sądził potrzebną rzeczą, aby wolność zwierzętom miał odbierać; śledził je tylko wich kryjówkach i legowiskach, słowem na miejscu je oswajał.

Pewne zdarzenie w którym mniej okazał łagodności w obejściu się z ludźmi, aniżeli ze zwierzętami, zmusiło Van Amburgh'a do opuszczenia rodzinnego kraju. Od niejakiego czasu wydzierano ule, i wszelkie poszlaki dowodziły, iż złodziej nie był stworzeniem dwunożnym. Wezwany na radę Van Amburgh, w przeciągu dwudziestu czterech godzin dowodnie się przekonał, że złoczyńcą był znajomy mu niedźwiedź, jeden z najmilszych uczniów, który przytęm wyłącznym był jego opieki przedmiotem. Pokazał więc właścicielowi ulów kryjówkę przestępcy, z warunkiem, iż cała kara ograniczy się półtuzinem kijów. Dzierżawca wziął z sobą trzech ludzi uzbrojonych w strzelby, zabił niedźwiedzia, i uciawszy mu wszystkie cztery łapy, jeszcze powalane miodem, powracał do domu niosąc godło swojego zwycięstwa i dowód słusznie domierzonej zemsty. W drodze napotkał Van Amburgh'a, który mu gorzko wyrzucał niedotrzymanie danego słowa. Wszczęła się kłótnia i od słów przyszło do bitwy. Van Amburgh napadnięty z zawziętością, walecznie się bronił; obaliwszy dzierżawcę i jednego sługę, sądził że ich trupem na miejscu położył; obawiając się przeto kary, za

zabójstwo, uciekł, udając się na brzeg morza, gdzie wsiadł na pierwszy okręt, który się mu napotkać zdarzyło.

Statek na który się dostał odpływał do Bombay, i w drodze na czas niejaki u brzegów przylądka Dobrej Nadziei stanął. Van Amburgh na ląd wysiadł, i po jakimś czasie osada okrętu nadzwyczajnie była zdziwiona, postrzegłszy go w wieczór powracającego z niedźwiedziem, którego w lasach nadbrzeżnych zwerbował i pędził przed sobą grożąc mu swoim kijem żelaznym.

Van Amburgh nieograniczył swych doświadczeń samem tylko wykształceniem niedźwiedzia, którego nazwał Jobem i przyuczył do rzucania się w morze za danym znakiem; układał on także i psy morskie (foki), które uczył łowić rybę i ją przynosić również dobrze jak to robią ze zwierzyzną psy legawe; a doświadczenie to czy całkiem nowe, czyli też powtórzone, niemniej zawsze godne jest podziwienia. Nieprzestając na powodzeniach prób swoich z fokami odbytych, zapragnął i ludojada (*Squalus Carcharias*) przywieść do posłuszeństwa; a pomimo przełożeń kapitana okrętu i jego osady, niecofniony trwał w swoim przedsięwzięciu.

(Dokończenie nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

W Bawaryi zawiązało się towarzystwo rozszerzania wiary katolickiej w Ameryce północnej i innych odległych częściach świata; na jego czele znajduje się ksiądz Freising, arcybiskup monachijski.

Do niniejszego numeru dołącza się rycina wyobrażająca MIASTO TERRACINE.



Stichtich von Leop. Dan. Richter Wien.

Terracina.

